



już nie tylko wiel-
Wszak tuż koło
iedział, ujęty przez
czynskiego, arcyks.
że ukrocił hetman
Habsburgów, Porta
zawodnie licząc się
mością.

Wy, chciał hetmano-
o swej lojalności,
zapewne drodze za-
częły się w Zamościu układy
sam hetman donosi wyraźnie (5.X.1588) legatowi
Aldobrandino⁷⁾. Namawiał go Zamoyski, aby sam
został patriarchą w Kijowie, wskazując, że gród
ten jest starszy, niż Moskwa. Zapewne hetman
powoływał się na to, że w Kijowie rezydował
w czasie unji florenckiej metropolita Izydor.

Z tem wszyskciem, nad wszyskciemi poczyna-
niami Jeremjasza w Zamościu wisiał jednak miecz
Damoklesa, bo groza pomsty tureckiej i ponowna
kara w przyszłości za „zdradę stanu“. Musiał
działać ostrożnie.

Oczywiście, w tajnikach serca patriarcha ma-
rzył o wyzwoleniu Konstantynopola i wiedział
dobrze, że za wyzwolenie Grecji papież Sykstus V,
a tak samo i Jan Zamoyski zażąda unji religijnej.
Ciekawe jest zagadnienie, czy w czasie tych roz-
mów hetman uchylił rąbka tajemnicy i czy pa-
trjarsze, jadącemu do Moskwy, zwierzył się, że
zmarły król Stefan miał przy pomocy Papieża zdobyć
właśnie tę Moskwę, przeprowadzić unję polityczną
i religijną, a następnie ruszyć na Konstantynopol—
aby wyzwolić Grecję. W każdym razie, jeśli rów-
nocześnie Zamoyski odważył się na krok tak ry-
zykowny i nawet swego „jeńcą—wroga“, arcyksię-
cia namawiał, aby spełnił marzenia Batorego i ru-
szył na czele wojsk przeciw Moskwie, — to czyżby
nie odważył się, celem wstrzymania patriarchy

przed erygowaniem patriarchy w Moskwie—roz-
budzić w jego sercu marzeń o wyzwoleniu Grecji
z jarzma tureckiego? Jeśli Zamoyski, za kilka
miesięcy, wobec oficjalnego reprezentanta Habs-
burgów, pana czeskiego Rosemberka, odważy się
roztoczyć plany unji wszystkich Słowian, Czechów
i Polaków przeciw tymże Habsburgom, w tym celu
zorganizowanej, aby wypędzić Turków z Konstan-
tynopola i wyzwolić Słowian bałkańskich⁸⁾, to czyż
tu nie rzuciłby myśli buntu przeciw sułtanowi,
wobec tyle razy dręczonego „ojca“ i wodza Gre-
ków ujarzmionych? Warunkiem wyzwolenia oczy-
wiście była—unja z Rzymem! Jak czytamy w li-
ście hetmana do nuncjusza — Jeremjasz słuchał go
mle i nie sprzeciwiał się tej myśli unji religijnej
(„*de concordia cum ecclesia Romana... non alienus
mici visus est*“).

Jeśli hetman olśnił i oczarował Czecha—Ro-
semberka, czyż nie mógł poruszyć tego Greka, ty-
lekoć poniewieranego przez sułtana? A może świe-
ży triumfator zdoła spełnić marzenia Stefana i ca-
łego świata chrześcijańskiego?

Tu w Zamościu zakiełkowały zamysły Pola-
ków o unji „brzeskiej“ z Grekami. Odnowiły się
roku następnego, gdy znowu w tymże Zamościu
zjawi się po powrocie z Moskwy patriarcha i za-
mianuje władzami późniejszych wykonawców unji
brzeskiej...

Nie trzeba zapominać, że zrazu w Moskwie
patriarcha wystąpił z projektem, że on sam chce
zostać tam patriarchą, i że wśród Greków, przeby-
wających wówczas w Polsce, byli niektórzy przy-
wiązani tak silnie do unji, jak Arkadiusz, apologeta
unji brzeskiej, jak wreszcie ów Grek⁹⁾ kupiec
w mieście Zamościu, którego Zamoyski dodał pa-
trjarsze, jako towarzysza podróży do Moskwy.

WACŁAW SOBIESKI

⁷⁾ Szmurło: „Rosja i Italja“, tom II, zeszyt 1, 166.

⁸⁾ Heidenstein: „Vita Zamoiscii“ 106.

⁹⁾ Sobieski: „Tygodnik Ilustrowany“ 1905, str. 43.

JEDWABISTE ZAJĄCE I LISY BIURKOWE

POWOŁANA i w składzie swoim mianowana
przez rząd Akademja Literatury Polskiej, z naz-
wy swojej i urzędu bierze na siebie zadania
względem kultury polskiej górne i odpowie-
dzialne. Wobec tego z zaciekawicalem czytano listę
pierwszych jej członków, gdzie ogół polski ze zdzi-
wieniem lub niesmakiem napotkał nazwiska litera-
tów żydowskich. Lecz i poza tą najgłębszą, orga-
niczną wadą Akademji, pierwszy jej skład osobisty
obudził liczne wątpliwości i śmiechy szydercze. Wy-
płyną one jeszcze nie raz na powierzchnię życia
w ciągu działalności owej Akademji, więc ich na-
wet wyliczać nie będę, ale z miejsca do pewnej
sprawy poszczególniej przystąpię, która dawno już
na omówienie czekała, a teraz właśnie z Akademją
Literatury Polskiej ściśle się powiązała.

W spisie członków tej, urzędowo najwyższej,
państwowej placówki literackiej widnieją między
innemi nazwisko p. Wacława Berenta. Przypomnia-
ło mi to przekład, przez p. Berenta z „Zaratustry“
Fr. Nietzschego dokonany, przekład bardzo osobli-
wy, a w poważnej prasie polskiej niedoceniony.

Zajmę nim uwagę czytelników naszych, rzuca on
bowiem bezstronne światło nie tylko na pisarza-
tłumacza, ale i na Akademję Literatury Polskiej,
pośrednio zaś oświetla także to i owo z ciekawych
zjawisk ciekawej naszej teraźniejszości.

Nie pamiętam roku, ale mniej więcej lat temu
dziesięć, z powodu ukazania się nowego wydania
„Zaratustry“ w przekładzie p. Berenta, zamieściłem
w „Gazecie Warszawskiej“ szkic pod tytułem „Nie
tak mówił Zaratustra“. Omówiłem wtedy ogólniko-
wo tylko styl przekładu, pomijając milczeniem i od-
kładając na później sprawę języka, treści i zgod-
ności, nie miałem bowiem pod ręką oryginału, a nie
chciałem orzekać gołostownie. Ale to „na później“
aż do dzisiejszego dnia się rozciągnęło, a i dzisiaj
pojawienie się swoje wyłącznie pojawieniu się Aka-
demji zawdzięcza. Trzeba było zdarzenia o nieco
szerszem znaczeniu społecznem, ażeby, przyna-
glony niem, zasiadł do tak nudnej i żmudnej roboty,
jak szczegółowe porównanie przekładu z oryginałem.
Nie jest już zwykłym przekładem przekład pisarza,
zapiętego na guzik Akademji z plombą rządową...

Tytuł p. Berenta — „Tako rzecze Zaratustra“ — odrazu odsłania charakter stylu, w całym przekładzie zastosowany: barok pokrzywiony i napuszony, upstrzony gdzieś uroszczeniami do archaizacji. Czegoś w tym rodzaju nikt w oryginale ani śladu nie dopatry. Począwszy od tytułu — „*Also sprach Zarathustra*“ — w całym dziele Nietzschego panuje styl spokojnej, naturalnej prostoty, oparty na potocznej mowie niemieckiej teraźniejszości. Skłonność do gry słów, do aliteracji, swoboda we wprowadzaniu nowotworów językowych (Nietzsche był filologiem) — w doskonałej pozostają zgodzie z naturalnością i prostotą stylu „Zaratustry”. Nietzsche sam zdawał sobie sprawę z tej zasadniczej cechy stylu i ducha swojego, o czym w kilku miejscach „Zaratustry” wyraźnie wspomina. (W dalszym ciągu będę miał sposobność do przytoczenia jednego z tych powiedzeń autora). Nawet w poetyckich uniesieniach prostota i naturalność nie znikają ze stylu „Zaratustry”, lecz nabierają tylko mocy i dostojności. I jakżeby inaczej być mogło? Czy jest możliwy barok i napuszenie stylu w dziele, które co chwila przenika ból serdeczny, gniew porywczy, śmiech szyderczy, radość twórczą, miłość najgłębszą?

Tłumacz „Zaratustry” od pierwszej do ostatniej strony swojego przekładu pilnie starał się o to, żeby tę prostotę i dostojność stylu zniszczyć do szczętu. I uczynił to w sposób bardzo prosty.

Naprzód przemienił charakter słów właśnie w kierunku niezwykłości, napuszonej i barokowości. „Dziecko” tłumaczy na „dziecię”, „studnia” — „studnica”, „tęsknota” — „tęsknica”, „wstydzie się” — „sromam się”, „wstyd” — „srom”, „trzymać” — „dzierżyć”, „szyderstwo” — „szyd”, „przynaęta” — „nęta” i tak dalej. Co chwila potykamy się tu o takie słowa, jak „woń, żrzały, chorzenia, chwalba, otrok, bluźnienie, zwólcie, zdziaływa, zarnice, gędźba, wrot”, i tym podobne, w jaskrawej stojące sprzeczności z prostym językiem oryginału. Tłumacz nie cofa się nawet przed takimi śmiesznościami mowy, jak „sromna krasa policzków”, „pomów pierwej ze zwierzęty memi”, „podtrzymywany ramiony ludzi” itp. Naogół nie uznaje prostej formy narzędnika, tylko tę — niby „górną”: „jakiemikolwiek drogi”, „lepsze mi drapieżniki”, „czy nie obdarzono nazwy i dźwięki” (zamiast: nazwami i dźwiękami), „umęczeni się dzieły swemi”, „miotane wichry” (zamiast: wichrami) — i tak dalej.

Następnie cały ten swój materiał językowy, nieprzeliczone mnóstwo słów powykręcanych i pretensjonalnych układa tłumacz w zwroty, szyki i rytmy jeszcze bardziej wykręcane, sztuczne i pretensjonalne, jak oto: „nie w porę nawiedzasz mnie ty!”, „kiedyż godzina ma nadejść?”, „gdyż raz jeszcze chcę ja do ludzi zejść”, „Ma mędrca tęsknica wyrwała się ze mnie...”, „mów: z dwojga nas dziękować komu tu?“, — „o dusza ma, o, dusza ma...” (po-wielekroć powtarzane), „ja zaś i doła ma”, „Gdyż stary ten Bóg nie żyje; zgoła martwy jest on już”. „Me zwierzęta niech wam usługują, ma jaskinia niech będzie dla was miejscem wytchnienia!”, „Już zmarłem ja! Minęło już! Pajaku ty!”, — „płasa dusza ma”, — „Nie upajaj księżyc nas?”, „Me czucie... Baczęł ja szczęścia? Dzieła mego baczęł”, „Okrutnik ja, oto krwawisz wszak...”, „O, południe me!” — i tak dalej. Tłumacz nie uznaje zaimków „moja, twoja” tylko „matwa”, co jest jednym z powodów śmieszności jego przekładu.

Pomijam wiele innych sposobów, którymi tłumacz wykręca i torturuje mowę polską. Przytoczeń

powyższych wystarczy dla zrozumienia, co z prostoty i dostojności oryginału powstać musiało w tak zepsutym przekładzie. Gdyż nie są to wyjątki, ale reguła tłumaczenia p. Berenta, na każdej stronie pilnie stosowana. Z poważnego dzieła moralno-filozoficznego tłumacz uczynił barokową groteskę libretową.

Liczby, które w dalszym ciągu tych uwag stawiam w nawiasach obok przytoczeń, oznaczają strony przekładu według jego wydania trzeciego, a są to już przytoczenia, samej treści dzieła dotyczące. Tłumacz bowiem nie poprzestał na zniszczeniu formy; tonu, rytmu „Zaratustry”, ale z niemięjszym powodzeniem sięgnął także do sensu, do samej treści myślowej.

W wielu miejscach przekładu p. Berenta natrafiamy (co lojalnie zastrzegam), na błędy, które można położyć na karb niełbatstwa. Zaczniemy tedy od nich, jak naprzykład: „najmądrzejsze” zamiast „najdumniejsze” — *das stolzeste* (str. 22), „południe” zamiast „północ” — *um Mitternacht* (str. 211), „stworzeniem” zamiast „potokiem” — *Strom* (str. 8), „nadmieja” zamiast „przenosiąca” — *Gleichnis* (str. 153), „mlekiem” zamiast „masłem” — *Butter* (str. 213), „jasknią” zamiast „piekłem” — *Hölle* (str. 449), „godziny” zamiast „grzechu” — *Sünde* (str. 338) — i tym podobne. Dziwne to jednak niedbalstwo, gdy zwążywszy, że na owym trzecim wydaniu przekładu wydrukowano: „Wydanie trzecie, przejrzane i ponownie porównane z oryginałem”. Każdy przyzna, że błędy w rodzaju przytoczonych mocno treść rzeczy zmieniają, a skoro mogłem je wykryć ja — przygodny „kontroler” przekładu, to tembardziej powinien był je usunąć sam tłumacz podczas drugiego z rzędu („ponownego”) porównywania z oryginałem!

Poza tym jednak, stosunkowo łagodnym rodzajem błędów istnieją w przekładzie p. Berenta liczne dowolności, które nie mogły z nieuwagi powstać, ale wkraczają już na grunt nieznamośności języka — zarówno niemieckiego, jak polskiego. Naprzykład: „*Verdruss*” — p. Berent tłumaczy „zgrzyzota” (str. 422), gdy to jest „przykreść”; „*unscheinbar*” tłumaczy przez „niewidocznie” (str. 436), gdy to jest „niepozornie”; „*süsse Leier*” tłumaczy „słodką lutnię” (str. 448 i inne), gdy to jest „słodka lira”; „*Fusstapfen*” tłumaczy „miedza” (str. 158), gdy to jest „trop, ślad”; „*Schuld*” tłumaczy „kara” (str. 197); gdy to jest „wina”; „*Häscher*” tłumaczy „szpieg” (str. 369), gdy to jest „zbir, siepacz”; „*Verleumder*” tłumaczy „zaprzaiący” (str. 299 i 361), gdy to są „oszczercy, potwarcy”; „*Ehrfurcht*” tłumaczy „pokora” (str. 50, 272, 391 i inne), gdy to jest „cześć, głęboki szacunek” — i wiele innych, na co tu już miejsca braknąć zaczyna. Błędy owe tem są jeszcze ciekawsze, że przeważnie zniekształcają zdania i czynią z myśli w danych miejscach wyraźne nonsensy, których jednak tłumacz nie dostrzega.

Obok tych błędów i dziwnych co do sensu przeoczeń należy tu postawić inny jeszcze rodzaj dowolności w przekładzie p. Berenta, dowolności, którymi on z dobrą miną poprawia treść oryginału. Naprzykład: „*O Mensch! Gib acht! Was spricht die tiefe Mitternacht? „Ich schlief, ich schlief—*” i t. d. co znaczy: „Człowieku! Zważ! Co mówi północ głęboka? „Spałam, spałam —” i t. d. Jest dla każdego rzeczą jasną, że owo „spałam” mówi o sobie północ, bo nawet graficznie Nietzsche oznaczył to

czudzysłowem, który poprzedza słowa „spałam, spałam”. Poza tem wiadomo, że południe i północ występują w „Zaratuście”, jako dwa wielkie symbole, a z całej treści wynika niewątpliwie, że tu właśnie północ mówi o sobie „spałam, spałam” i t. d. Tymczasem wiersz ten p. Berent tak tłumaczy: „Człowiecze, śpisz? Coś brzmi z północnej głuszy wzwyż! „Jam spał, jam spał—“ i t. d. Zamiast żeńskiego rodzaju pakuje męski, a zamiast „północy” (która mówi) wstawia jakieś „coś”, które „brzmi” — ale co? — niewiadomo! (str. 321 i 453). Wiersz ten jest pieśnią, do której Zaratuśtra szczególną wagę przywiązuje. Tem złośliwsza i brzydsza jest „poprawka” tłumacza.

W innym miejscu: Zaratuśtra mówi (do cienia): „Du hast das Ziel verloren: wehe, wie wirst du diesen Verlust verscherzen und verschmerzen?“, a p. Berent tłumaczy: „Straciłeś cel: biada, jakże przebolejesz teraz tę stratę lekkomyślną?” (str. 384), podczas gdy w oryginale jest: „jakże tę stratę przeswawolisz i przecierpisz?”... Albo: „aber noch unter Schelmen spricht die Ehre: „man soll nur stehen, wo man nicht rauben kann“ — tłumaczy: „lecz nawet pośród łotrów powiada honor: „nie należy kraść tam, gdzie zrabować można“ (str. 239)— czyli tłumaczy odwrotnie, bo w oryginale jest: „należy tylko kraść, gdzie nie można zrabować“... Albo: „die buntesten Abgrund-Gründlinge“ tłumaczy: „te najbarwistsze twory dna“ (str. 333), gdy w oryginale są „kielbie otchłani“. Stale pompatycznie nastrojony tłumacz nie uznał takiej, jak kielbie, pospolitości! A może i tu odegrała rolę nieznaną języka niemieckiego? (Gründling — kielb)... Albo: „wer Berge zu versetzen hat, der versetzt auch Täler und Niederungen“ — tłumaczy: „kto ma góry z posad wywazać, ten przenosi także doliny i nize“ (str. 206) — także z pompa, chociaż w oryginale jest bardzo skromnie: „kto ma góry przenosić, ten przenosi także doliny i niziny“... Albo: najcichsza godzina mówi: „Powiedz słowo swoje i złam się!“, a Zaratuśtra odpowiada: „Ach, ist es mein Wort?“, co znaczy: „Ah, czy to moje słowo?“, a p. Berent tłumaczy to pytanie przez: „Och, wszakże moje to słowo?“ (str. 205). Co tu robi to słowo „wszakże“ —? To jest bez sensu. Albo: „Mein Fuss — ist ein Pferdefuss; damit trappie und trabe ich über Stock und Stein...“ tłumaczy: „Ma noga — konia to noga; nią to tępam i ewaluję poprzez wykrot i głąz...“ (str. 270), zamiast, jak być powinno, „przez góry i lasy“, albo: „poprzez wertepy“, bowiem „poprzez wykrot i głąz“ przeciwi się duchowi języka polskiego i popularnemu w tym wypadku zwrotowi. P. Berent naiwnie tłumaczy słowo po słowie... Albo: „unser Fell ist nur ein Lamm-Fell“ tłumacz przekłada na: „skóra jest futrem jagnięcia“ (str. 281), co i w stosunku do oryginału i ze względu na język polski jest nonsensem (Lammfell — skóra jagnięcia, Fell — skóra, jm. das Fell gerben — wygarbować komu skórę, wychłostać i t. p.)... Albo: „Dorthin führt der Weg“ p. Berent tłumaczy: „tędy mknie droga...“ (str. 384), co jest pompatyczne i niepolskie. I t. d. I t. d. I t. d. I t. d.

Muszę oszczędzać miejsca, więc tu przerywam ciąg tej kategorii „poprawek” tłumacza, uzupełnień „ozdobnych” (są i takie liczne w tym przekładzie dowolności!) i błędów, z nieznaności języka płynących. Przejdźmy teraz do najciekwszego rodzaju uchybień tego osobliwego przekładu. Ponumerujemy je:

1) W oryginale: „ein lebendiger Leuchtturm unbesiegbaren Lebens“, a w przekładzie: „niby wieża ogniowa niepokonanego życia“ (str. 224). Tłumacz nie wie, że „Leuchtturm“ znaczy „latarnia morska“, a mógł być dowiedzieć się o tem, jeżeli nie ze słownika, to bodaj z następujących bezpośrednio zdań oryginału, gdzie mowa o czuwaniu w tej latarni morskiej.

2) W oryginale: „nach dem werfe ich nun meine goldene Angelrute aus und spreche“... a w przekładzie: „w jego to wody zanurzam swą złotą różczkę wędkową i mówię“... (str. 333). Tłumacz nie wie, że „Angelrute“ znaczy „wędzisko“, i zadowolony jest ze swojej „różczki wędkowej“...

3) W oryginale: „Herrschucht: die boshafte Bremse, die den eitelsten Völkern aufgesetzt wird...“, a w przekładzie: „Żądza panowania: złośliwy hamulec, nakładany najpróżniejszym ludom“... (str. 266). Wprawdzie „Bremse“ znaczy „hamulec“, ale tak samo znaczy „giez, bąk“, a w danym wypadku nie może być wątpliwości, że tu o złośliwego bąka chodzi, a nie o hamulec. Tłumacz nie zrozumiał myśli, i rozumne zdanie oryginału przerobił na nonsens.

4) W oryginale: „Es sind süßliche zudringliche Hunde, sie vergolden Palmenblätter“... a w przekładzie: „To są mdłe, natrętne psy. one oślacają liście palmowe“. (str. 342). W mowie niemieckiej „vergolden Palmenblätter“ jest to wyrażenie równoznaczne z polskiem „kadzeniem pochlebstwami“. Tłumacz z całym spokojem wypisuje głupstwo językowe.

5) W oryginale: „Stellt kleine gute vollkommen Dinge um euch, ihr höheren Menschen! Deren goldene Reife heilt das Herz...“, a w przekładzie: „Ota czajcie się, ludzie wyżsi, doskonałemi rzeczami! Ich złote obręcze koją serce“... (str. 411). Tłumaczowi nie przyszło do głowy, że w niemieckim obok „der Reif“ — „szron“, albo „der Reifen“ — „obręcz“ istnieje słowo „die Reife“ co znaczy „dojrzałość“. Dziecko zrozumiałoby, że tu o dojrzałość rzeczy doskonałych, a to tembardziej, że owe „obrzęcze“ i gramatycznie i z treści są tu poprostu pozabawione sensu. Pomijam już to, że tłumacz opuścił w zdaniu dwa ważne dla treści przymiotniki: „kleine“ i „gute“ — „małe“ i „dobre“.

6) W oryginale: „An diesen Reimen Zarathustras weideten sich die Könige...“, co znaczy: „królowie napawali się temi rymami Zaratustry“, a w przekładzie p. Berenta: „Na tych rymach Zaratustry paśli się królowie“... (str. 345). To już, doprawdy jest wzruszające! Gdyby jakie bobo pięćioletnie tak powiedziało, jakaż by to była do łez uciecha dla mamy i taty! Tu zaś powinna być uciecha dla Akademji.

7) W oryginale: „Mein Mundwerk — ist des Volks: zu grob und herzlich rede ich für die Seidenhasen. Und noch fremder klingt mein Wort allen Tinten-Fischen un Feder-Füchsen.“, a w przekładzie: „Me usta — ludu to usta: nadto zgruba, nadto serdecznie gadam ja dla jedwabistych zajęcy. A bardziej jeszcze obco brzmi ma mowa atramentnicom oraz lisom biurkowym“. (str. 270). Uczciwny rzecz odpowiednią dozą śmiechu, aby następnie ze spokojem pobłażliwości wytłumaczyć tłumaczowi, że „Seidenhasen“ oznacza w mowie niemieckiej „gładyszów“, a „Feder-Füchse“ — „lichych pisarzów“ czyli „pismaków“. Powinno być zatem w przekładzie coś w rodzaju zdań następujących: „zbyt rubasznie i serdecznie

mówię dla gładszów. A jeszcze bardziej obco brzmi słowo moje mątwom wszelakim i pismakom“.

Przypuścimy, że jakiś Wacjo Dłubinosek w dwunastym roku życia swego tłumaczy z niemieckiego na polski trudne wypracowanie. Szuka słów w słowniku. „*Seiden*“ — to „jedwabny“, a „*Hase*“ — to „zając“. Aha! Więc razem będzie: „jedwabistych zających“. Zaś opodal: „*Feder*“ — to „pióro“ a „*Fuchs*“ — to „lis“. Aha! Więc razem będzie: „lisom piórowym“, ale że tata pisze piórem przy biurku, więc ładniej będzie: „lisom biurkowym“. Sądzą jednak, że nawet ów Wacjo Dłubinosek, gdy słowa te w zdania ułożył zechce, zatrzyma się przezornie, bo dojrzy, że coś tu jest nie w porządku. Zdobędzie się na tyle taktu, że opuści słowa tak niepewne i na ich miejscu białe pozostawi plamy w zeszyte. Pójdzie po radę do taty. Dlaczego tym wzorem nie postąpił p. Berent? Odpowiedz na to pytanie pozostawiam wnikliwej psychologii p. Boy'a, akademickiego kolegi p. Berenta...

Nawiasem przypominam, że przytoczony powyżej werset Zaratustry jest właśnie jednym z tych powiedzeń (o czym wspominałem), w których Nietzsche zdaje sobie sprawę z prostoty stylu i ducha swego. Takiego pisarza tłumaczyć sposobem barokowo-groteskowo-pokreślonym w formie, a pofałdowanym w treści — to, istotnie, odwaga, na którą może zdobyć się tylko zupełna ciemnota.

Na tem kończę uwagi o przekładzie p. Berenta. Wyzyskałem tylko drobną cząstkę materiału, który zgromadziłem. Niema w tygodniku miejsca na więcej. Musiałbym zapełnić duży tom o dwustu stronicach, gdybym chciał choć pobieżnie omówić wszystkie błędy, opuszczenia, dodatki „ozdóbkowe“, wykrętasy mowy, głupstwa językowe, nonsensy i całą wogóle epileptyczną brzydotę przekładu p. Berenta. Zakreślałem to wszystko w książce czerwonym ołówkiem. Niema stronicy w tym

egzemplarzu, któraby nie pstrzyła się kilkunastoma krwawymi plamami. To dość, aby ocenić wartość całego przekładu. A wszystko to mieści się w wydaniu trzeciem, o którym tytuł głosi, że jest „przejrzone i ponownie porównane z oryginałem“...

W przedmowie i posłowniu przekładu czytamy o „długowieczności“ dzieła, o jego „tej powadze i znaczeniu“... i t. p. słowa górne, poważne, majestatyczne, a zarazem wyniosłe i względem społeczeństwa polskiego — za jego jakoby brak kultury — wzgardliwe i karcące. *Medice!* — trzeba na to powiedzieć... *cura te ipsum!* A co do długowieczności, to przekład p. Berenta zostanie, owszem, na długo, ale jako okaz nieuctwa, zarozumiałości i tupetu „lisów biurkowych“.

W sumie: p. Berent 1-o nie zna języka niemieckiego, 2-o nie zna języka polskiego, 3-o nie rozumie tego, co tłumaczy, i 4-o nie zdaje sobie sprawy z tego, co sam wypisuje. To — co do osoby tłumacza. Wniosków o szerszym zakresie można stąd wysnuć sporo, ale na to już tu nie pora. Zaznaczmy tylko jeden — na zakończenie szkicu.

Akademja Literatury Polskiej ma być zakładem o najwyższej powadze w sprawach polskiej kultury literackiej. Myśląc warstwy naszego społeczeństwa powinno znać poziom umysłowy i kulturalny mianowanych członków Akademji. Jest on bardzo rozmaity, a skala tej różnorodności o wiele przewyższa nawet liberalną (czyli — niechlujną) rozpiętość najpospolitszych klubów towarzyskich. Oprawione (w ramy niniejszej rozprawki) akademika — tłumacza, kawalera „*Polonia Restituta*“ trzeba umieścić na dolnym, bardzo tłumnym jej końcu...

Nie tyle w wawrzynowych, ile w warzywnych ogrodach owego nie tyle Aka — ile Kakademos, w wielkiem są poważaniu przeróżne „lisy biurkowe“ i „jedwabiste zające“.

STANISŁAW PIENKOWSKI

EMIL GEBHART

PASTERKA PAPIEŻA GRZEGORZA VII

RANKIEM¹⁾ w wigilję Bożego Narodzenia stało się w Rzymie wiadomo, że o północy papież odprawi Mszę świętą Pasterską u Panny Marji Większej. Oczekiwano tłumy wiernych zewsząd. Było atoli pochmurno i dał wicher *sirocco*. Popołudniu ściemniało nagle i rozszalała się burza — „jakoby upusty niebieskie (wedle świadectwa kronikarza) lunęły nowym potopem“.

Mieszczanie rzymscy, wobec tak wścieklej pluty, poszli do łóżek, zamiast do kościoła, oddawszy pieczę nad Dzieciątkiem Jezus samym tylko bydłatkom przy żłobie. Ani spostrzegli we śnie, że burza pomału umilkła.

A jednak sporo pielgrzymów kręciło się pod Panną Marją o północy... Nie po chrześcijańsku jednak wyglądał ten lud: stronił od światła, bijącego z okien, miał dzidy i kordelasy zamiast różańców, a pilnie patrzył w stronę Lateranu.

Rozległ się nagły gwizd. Cienie wsiąknęły w mrok, z którego się wyłonił niepokazny orszak. Dwaj halabardnicy szli na czele, tuż za nimi za-

konnik z potrójnym krzyżem pontyfikalnym, kilku kleryków z latarniami, dwóch kardynałów na mułach, wreszcie lektyka, obramiona purpurą. Siedział w niej nikły starzec, o twarzy bardzo surowej, w płaszczu czerwonym i z krzyżem złotym na piersi.

Otwarto wielkie podwoje kościelne; światło padło na orszak; kardynałowie zsiadli z mułów. I wstąpił Grzegorz VII do bazyliki, oświetlonej, lecz pustej.

Papież rozejrzał się ze smutkiem. Tu i ówdzie klęczeli nieliczni tylko pasterze w dziurawych opończach, oraz nieokrzesani parobcy, którzy przywdrowali zdaleka. Wyciągnął ku nim reke z błogosławieństwem.

Kanczałnie po nym ołtarz tyjską, or w komeżk djakoni i gorz poch Brzej sekracji. drzwiom.

¹⁾ Przekład niniejszy odczytany był przez tłumacza na tegorocznej uroczystej Akademji Papijskiej w Sali Rady Miejskiej w Warszawie.

